

Społeczna gospodarka rynkowa w saloonie

10 lipca 2012

Wszyscy znamy te obrazki z westernów: sprawiedliwy szeryf z impetem kopie w drzwi saloonu. W miasteczku panuje cisza, wiatr roznosi pył po opustoszałej ulicy, zaś starcy, kobiety i dzieci nieśmiało wychylają głowy zza okiennic domów – na ich twarzach rysują się niepokój, ale i nutka nadziei. Po chwili rozlega się seria strzałów. Jeszcze moment, a będzie jasne, że sprawiedliwości stało się zadość: złowrodzy bandyci już nigdy nie zakłócą spokojnego rytmu życia tej miejscowości i jej pobożnych, pracowitych mieszkańców.

Pewien znany działacz peerelowskiej opozycji solidarnościowej, zapytany o źródła swej bezkompromisowej postawy w ciężkich latach stanu wojennego, odpowiedział w ten sposób: „Nie mogłem inaczej. Wychowałem się na westernach...”. Jakże znamienita odpowiedź, wiele mówiąca o wpływie otoczenia kulturowego na losy zbiorowości. Popatrzmy na przesłanie niemieckiego filmu „Życie na podsłuchu” z 2007 r. W filmie tym smutny oficer Stasi, pod wpływem inwigilowanych przez niego ludzi, słuchając ich utworów muzyki klasycznej i czytając ich książki, przechodzi przemianę i postanawia, wbrew systemowi, czynić dobro. Pod koniec filmu jest samotnym, materialnie zdegradowanym roznosicielem ulotek. A jednak żaden z widzów nie odczuwa względem niego litości, lecz podziw, jeżeli nie zazdrość. On sam, a z nimi i widzowie, odkryli już prawdę: dobro jest piękne. Tak jak wszystkie tyrady Trazymacha nie przekonały Sokratesa, że gorzej jest być sprawiedliwym i cierpieć, niż niesprawiedliwym i pławić się w doczesnej chwale, tak wychodzący z kin wiedzą już, co jest warte ich wysiłków, a co ułudą.

Warto mieć te konkluzje na uwadze, obserwując otoczenie kulturowo-społeczne i miałki przekaz, z którym do nas dociera.

Ten tekst nie traktuje jednak o wpływie wychowania dzisiejszej młodzieży przez MTV na przyszłość naszego kraju. Mówi on o tym, co naprawdę powinien zrobić szeryf.

Lata błędów i wypaczeń realnego liberalizmu mają dwojaki skutek. Z jednej strony rośnie zrozumienie potrzeby wprowadzenia w życie – zapisanej w konstytucji – idei społecznej gospodarki rynkowej, która wbrew niektórym opiniom ma niewiele wspólnego z redystrybucją dochodów. Jej założenia oparte są o dobro wspólne i uznanie roli ludzkiego potencjału w tworzeniu dobrobytu, a była realizowana również przez takich „prawicowych” przywódców powojennego złotego ćwierćwiecza Europy jak Ludwig Erhard, Charles de Gaulle czy Harold Macmillan. Z drugiej jednak strony słyszymy, iż lepsza przyszłość zbiorowości winna być budowana na „rozliczaniu zdrajców”. Ostatnie 20 lat rzeczywiście obfitowało w wiele patologii, z których sporo w niemal zinstytucjonalizowanej formie funkcjonuje do dziś, dlatego tej propozycji i jej potencjalnym skutkom należy poświęcić więcej uwagi. Zanim to jednak zrobimy, po raz ostatni przywołajmy postać szeryfa.

Gdy zaczynał robić porządek, rzeczy miały się rzeczywiście jak najgorzej. Wielkie instytucje finansowe swoją spekulacją wywołały gigantyczny kryzys gospodarczy, postępowała pauperyzacja bezsilnego społeczeństwa. I wtedy, w roku 1933, na scenę (jak kto woli, do saloonu) wkroczył, a raczej wjechał na wózku inwalidzkim, szeryf Franklin Delano Roosevelt. Od początku nie pozostawiał wątpliwości w sprawie stosunku wobec oligarchów finansowych z Wall Street: „Nienawidzą mnie – stwierdził – a mnie ta nienawiść cieszy”.

Joseph P. Kennedy, znany powszechnie jako „Joe”, ojciec przyszłego znakomitego prezydenta USA Johna F. Kennedy’ego, był wówczas znany nie tylko jako przemysłowiec alkoholu w czasie prohibicji, ale również jako specjalista od przekrętów giełdowych. Znał i korzystał z każdego brudnego triku i możliwości, jakie oferował mu „wolny rynek”. Przekładając to na dzisiejsze realia, Joe Kennedy był zaradnym beneficjentem

czasów transformacji. Joe miał swoje za paznokciami: to tacy jak on doprowadzili do Wielkiego Kryzysu. Nasza wyobraźnia powinna podpowiedzieć to, czego oszczędzają nam reżyserzy westernów: takich jak Joe czeka smutny koniec.

A jednak nie. Dla Roosevelta cele dobra wspólnego nigdy nie ustąpiły potrzebie rewanżu. Joe Kennedy został z nadania prezydenta pierwszym szefem amerykańskiego nadzoru finansowego (Securities and Exchange Commission), który na dekady zatamował siłę amerykańskiej i międzynarodowej finansjery, kładąc podwaliny pod powojenny rozwój obszaru transatlantyckiego. Jako były de facto przestępca z Wall Street, nestor rodu Kennedych dysponował olbrzymią wiedzą na temat tego, jak kosztem społeczeństwa dokonywać olbrzymich przekrętów oraz... jak im zapobiegać. Już po śmierci Roosevelta, syn Josepha – John F. Kennedy – spędzał długie godziny u byłej prezydentowej Eleanor Roosevelt, która uczyła go prawdziwego ducha systemu amerykańskiego. Jak bardzo te nauki zaprocentowały u postrzeganego jako lekkoduch Johna F. Kennedy'ego, amerykański oligarchiczny establishment dostrzegł dopiero po objęciu przez niego urzędu prezydenta. Co za ironia! Z oficera Stasi – dobroczyńca. Ze spekulanta – państwowiec. Z playboya – mąż stanu.

Warto mieć te fakty na uwadze, gdy zbytnio koncentrujemy się na analizie okresu błędów i wypaczeń realnego liberalizmu, tracąc z horyzontu cel dobra wspólnego. Po pierwsze, punktowanie, często słuszne, błędów okresu prywatyzacji ustawia nasze widzenie w wadliwym paradygmacie statycznej gospodarki: myślimy o „stratach”, nie myślimy o nowych wyzwaniach i sposobach powiększania społecznego dobrobytu i rozwijaniu potencjału kraju i jego mieszkańców. Oczywiście niewywiązywanie się przez zagraniczne koncerny z umów prywatyzacyjnych powinno być kartą przetargową przy ustalaniu nowego modus operandi w polityce gospodarczej państwa, ale nic ponad to nie przyniesie długotrwałych korzyści całemu społeczeństwu. Po drugie, mamy do czynienia z tęsknotą za

wychowawczym efektem rozliczania niektórych rodzimych drobno-oligarchów. W praktyce takie rozliczenia są (byłyby) bardzo selektywne i mają niewiele wspólnego z zaprowadzaniem praworządności.

Te właśnie przemyslenia nie bez kozery zabierają miejsce ekonomicznemu teoretyzowaniu, o które pokuszę się dopiero pod koniec. Zauważmy prawidłowości obecnej sytuacji politycznej. Bez wątpienia pod wpływem neoliberalnej ideologii mamy do czynienia ze „zwijaniem państwa”, przejawiającym się w likwidacji szkół i „nierentownych” obiektów użyteczności publicznej. Nie można jednak zapomnieć, iż obóz rządzący ma też jednak, nie tylko w dziedzinie dość stabilnej polityki zagranicznej, swoje zasługi. Wicepremier Pawlak z lubością mówi o „banksterach” i z trybuny sejmowej nawołuje posłów do obejrzenia filmu „Inside Job”. Minister Rostowski z wielką wprawą przekonuje swoich londyńskich kolegów, że nie warto atakować papierów dłużnych Polski. Wielu krytyków rządu utrzymuje przy tym, iż rządowe manipulacje przy prezentowaniu zadłużenia publicznego są niedopuszczalne (ich zdaniem na rynku długów powinni manipulować tylko zagraniczni spekulanci), ale pomińmy to dobrotliwym milczeniem. Relatywne przeskoczenie przez wzrost PKB tempa zadłużania się kraju powinno być odnotowane z zadowoleniem.

Przy dużej dozie dobrej woli można wręcz założyć, że rząd zachowuje się jak surowa matka, broniąca dziecka przed ojcem-psychopatą (rynkami finansowymi). Za granicą rządzący chwalą się, zgodnie z europejskim trendem, ciężkimi wyrzeczeniami narzucanymi społeczeństwu (reforma emerytalna), nie wspominając jednak, iż zmiany te są rozciągnięte w czasie, a i tak zostaną obalone po następnych wyborach.

Zamiast jednak pochopnie udzielać rządzącym zbyt wielkiego kredytu dobrej woli, oceńmy rysującą się na horyzoncie alternatywę. Największa partia opozycyjna jest, przynajmniej w deklaracjach, niechętna zwijaniu państwa. Niestety, kompetentni ekonomiści w jej szeregach, tacy jak profesor

Jerzy Żyżyński, nie mają zbyt wielkiego wpływu na jej program gospodarczy. Brak programu gospodarczego o ewidentnie nowatorskim i prowzrostowym charakterze może być bardzo zły w skutkach także pozagospodarczych.

Obudzona nadzieja na zmiany i mesjanistyczny image największej partii opozycyjnej oznaczać mogą, w przypadku braku zmiany paradygmatów gospodarczych, zaaplikowanie krajowi niepotrzebnej dozy niestabilności. Brak poprawy warunków życia pauperyzowanego społeczeństwa może zmusić rzeczne środowisko do działań nieracjonalnych. Jedynym możliwym sposobem utrzymania mobilizacji politycznej swoich zwolenników, którym nie przybędzie „masła na chlebie” ani „kartofli na talerzu”, będzie zastąpienie populizmu ekonomicznego – kulturowym. Ten zaś jest niezwykle destabilizujący, utrwala irracjonalne podziały i oddala szanse na prowzrostową i prospołeczną zmianę paradygmatu gospodarczego.

Plan rozwoju gospodarczego Polski już jest gotowy, w postaci programu reindustrializacyjnego, autorstwa Polskiego Lobby Przemysłowego z 2012 roku. Właśnie na zaadaptowaniu tego programu osadza się pytanie o polityczne rozwiązanie problemów społeczno-gospodarczych naszego kraju. Podjęcie wyzwań stawianych przez kluczowe zagadnienia społeczne, takie jak niekorzystne zmiany demograficzne czy problemy mieszkaniowe młodego pokolenia, może się dokonać nie dzięki życzeniowym deklaracjom, lecz ekspansywnej polityce gospodarczej państwa.

Tym samym kwestia zwiększania bogactwa jest w dłuższym horyzoncie zagadnieniem numer jeden. Kluczowa powinna stać się kwestia inwestycji w kapitał wytwórczy („kury znoszące złote jaja”), czyli taki, który tworzy kolejne dobra, najlepiej o jak najwyższej stopie zwrotu, pozwalającej na szybsze tworzenie bogactwa. Dość wyprane dziś ze znaczenia pojęcie „gospodarki opartej na wiedzy” może odegrać ważną rolę, o ile tylko powiąże się je z wytwórczością. Tym bowiem, co rozróżnia względem stopnia przydatności dla społeczeństwa różne metody ekstrakcyjne i przetwórcze uzyskiwania dobrobytu, od wypalania

lasów, przez kopalnie węgla, po światłowody, jest nie tyle nakład pracy, lecz właśnie nakład wiedzy. Kluczowa rola wiedzy każe nam zrewidować prostackie rozumienie gospodarki w kategoriach monetarnych, gdzie instytucje edukacyjne i kulturalne, stymulujące rozwój kreatywnych zdolności człowieka, uważane są za „nierentowne”.

Potrzebne jest zrozumienie wagi odpowiedniego otoczenia edukacyjnego, czy szerzej: społeczno-kulturowego. W nim to bowiem, nieodpowiednio pielęgnowanym, powstaje kolektywna choroba ego, skutkująca irracjonalną potrzebą dominacji, czyli oligarchizmem. Od czasów opisanego tego zjawiska przez Platona w „Państwie” niewiele się zmieniło, a forma, jaką ono przybiera, jest kwestią wtórną. Czy jest to, jak opisuje Federalny Instytut Technologiczny w Zurichu w raporcie z 2007 r., posiadanie przez 10 megakorporacji 80 procent światowego kapitału, czy też, jak chciałyby niektóre teorie spiskowe, kontrola zasobów świata przez np. 12 rastamanów z Jamajki, oligarchizm jest bez wątpienia pasożytem na idei dobra wspólnego, który nie może znieść humanistycznego, optymistycznego, postępowego otoczenia kulturowego. Tylko ono właśnie, w połączeniu z prowzrostową polityką gospodarczą państwa, jest w stanie odważyć się odrzucić stary porządek i stworzyć lepszy, choć nie do końca jeszcze znany.

Autor: Krzysztof Mroczkowski

Źródło: [Nowy Obywatel](#)